

Jak się nie cieszyć? Jeśli jacyś norwescy urzędnicy interesują się jej rodziną, pytają, czego jej brakuje, jakie mają problemy, to może być z tego tylko coś dobrego. A właśnie to ich interesowało. Kiedy więc przyszli znowu, poskarżyła się, że musi żyć w kawalerce. Z mężem i Nikolą trochę ciasnawo. Tamci rozejrzeli się wokół, posiedzieli, pokiwali głowami, wyciągnęli kartki i długopisy, coś notowali, coś pogadali między sobą po norwesku. Co pisali i co mówili, tego Helena nie wie, bo języka nie zna, ale kiedy wychodzili, uśmiechali się do niej. Pomyślała, choć wszyscy Norwegowie ciągle się uśmiechają, że te ich uśmiechy to jednak dobry znak.

I tak było! Po miesiącu Barnevernet przyznał Helenie dopłatę do czynszu, aby mogła wynająć dwa pokoje. Przyznali tę dopłatę Nikolii, żeby dziecko miało własny pokój. Starczyło nie tylko na dwa pokoje, ale i na ogródek, i mały trawnik, gdzie dziewczynka mogła się bawić.

Następnym razem panie z Barnevernet od razu zwróciły uwagę na ten trawniczek. Uśmiechały się jak poprzednio, ale chyba nie były zadowolone. Zwróciły uwagę, że Nikola bawi się sama. Sama to niebezpiecznie, smutno i depresyjnie. Tyle Helena zrozumiała. Ale czym się przejmować, skoro oni tacy mili. Uśmiechali się i długo pytali o córkę. Czego Nikolii brakuje, co lubi robić, czym się interesuje? Może rysuje albo rzeźbi, a może biega albo pływa? Ma hobby? Na koniec obiecały opłacić dziewczynce zajęcia jazdy konnej i świetlicę, żeby po szkole dłużej mogła przebywać z rówieśnikami i szlifować norweski. Helena była szczęśliwa.

Na to, że pytali też o nią i męża, machnęła ręką. To, o co pytali, było dla niej śmieszne, wręcz dziecinne. Ot, choćby ciche dni. Kiedy pytali o kłótnie małżeńskie, odpowiadała, że bywają, jak to w małżeństwie, normalnie. Ale krzyżać na siebie to raczej nie krzyżują, a ciche dni to i owszem, nawet kilka z rzędu się zdarza. Wiadomo, ciche dni to na faceta najlepsza metoda!

A pani z Barnevernet aż przysiadła, zbladła, jakby trupa ujrzała. Powiada: ciche dni, gorzej być nie może. Ciche dni to długotrwałe napięcie, które krzywdzi wszystkich w rodzinie. Nikolii bardzo szkodzi takie napięcie, rozbija ją emocjonalnie, destabilizuje. Jak są ciche dni, to konflikt nie ma rozwiązania, ujścia, a przez to zakończenia.

Pani z Barnevernet zasugerowała, że oboje z mężem powinni podjąć terapię w specjalnym ośrodku gminnym.

NIEMCY

WSZYSTKO DLA DOBRA DZIECKA

nie tylko w Norwegii polskie rodziny tracą dzieci z powodu nieznamośności miejscowych przepisów. To samo spotkało w Niemczech rodzinę Albrechtów.

We wtorek rano 7 września ubiegłego roku Agnieszka Albrecht jak zwykle odwozła do szkół i przedszkoli we Frankfurcie nad Odrą pięcioro swoich dzieci. Najmłodsza, Konstancja, ma trzy latka, najstarsza, Wiktorija, trzynaście. O piętnastej telefon z Jugendamtu: kobiecy głos mówi, że cała piątka została zabrana do domu dziecka. W urzędzie okazuje się, że Agnieszka i jej polski mąż – z zawodu wojskowy – zostali oskarżeni o bicie i psychiczne znęcanie się nad dziećmi. Lada dzień ma ruszyć sprawa sądowa. Agnieszka Albrecht we Frankfurcie nad Odrą zamieszkała w 2007 roku. Rok później założyła własną firmę. Trudno jej było pogodzić pracę z obowiązkami domowymi. Ktoś podpowiedział jej, żeby skorzystała z instytucji Familienhilfe (Pomoc Rodzinna). Agnieszka była przekonana, że chodzi o panią, która pomoże wyprać, ugotować, posprzątać, zrobić zakupy. Tymczasem ściągnęła do domu urzędniczki, które

pouczyły ją, jak wychowywać dzieci. Przychodziły przez dwa lata, zabierając po dwie godziny dziennie. We wrześniu ubiegłego roku pani Agnieszka nie zgodziła się podpisać umowy na kolejny rok. Efektem było odebranie całej piątki i umieszczenie w domu dziecka. Albrechtowie mogą odwiedzać dzieci tylko przez dwie godziny dziennie. Dzieci nie rozumieją, dlaczego muszą zostać w obcym miejscu. Każde rozstanie z rodzicami kończy się płaczem. O dramatycznej sytuacji dowiaduje się Marcin Gall z Berlina, prezes Międzynarodowego Stowarzyszenia przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech. Podsuwa Albrechtom mecenasa Stefana Nowaka, który wygrał już podobne sprawy. Interwjuje także Bartłomiej Rosik z wydziału konsularnego ambasady polskiej w Berlinie. Wszystko na szczęście kończy się dobrze. Albrechtowie odzyskują prawa rodzicielskie.

– Nie ma znaczenia, czy ktoś ma polskie, czy niemieckie obywatelstwo. Jeśli jest zameldowany w Niemczech, posyła dzieci do niemieckiej szkoły i niemieckiego lekarza, podlega pod **Jugendamt**, czyli urząd ds. dzieci i młodzieży – tłumaczy Gall. Domowa kłótnia, do której dziecko przyczyna się w szkole, spożywanie alkoholu przy dzieciach czy wyjście z dzieckiem późnym wieczorem – wszystko to może zwrócić uwagę Jugendamtu. I zapoczątkować wielomiesięczne, uciążliwe kontrole w domu, a w konsekwencji nawet odebranie dziecka i umieszczenie go w domu dziecka lub rodzinie zastępczej. – Grunt to dobry adwokat – mówi Marcin Gall. Nie taki, który przed polskimi kamerami będzie zlorzczył na niemieckie urzędy. – Zaognianie konfliktu nie pomoże. Nie namawiamy więc także do ucieczki z dzieckiem do Polski, bo to nic nie daje, a może tylko pogorszyć sprawę.

FILIP GAŃCZAK

Mówiła, że są tam pracownicy socjalni przeszkoleni w psychologii, mediacji i rozwiązywaniu konfliktów. Helena miała ochotę postukać się w głowę, ale nie chciała obrazić pani – w końcu to urzędniczka z wizytą, za świetlicę i jazdę konną córki obiecała płacić.

Koleżanka Polka, co ma męża Norwega, mówiła później Helenie, że takie opowieści o kłótniach albo cichych dniach to dla norweskiego urzędnika może być szok. Lepiej już nic nie mówić. Mówiła, że Barnevernet szczególnie uważnie pilnuje rodzin polskich imigrantów. Wszystko dlatego, że Norki (jak Norwegów nazy-

wają polscy imigranci) – opowiadała koleżanka – mają o Polakach wyrobioną opinię. Uważają, że Polacy swoje dzieci biją, poniżają słownie, krzyczą na nie, a w najlepszym razie bardzo surowo karzą. Dla Norwegów nie do pomyślenia są zakrapiane alkoholem grille z udziałem dzieci, palenie w pomieszczeniach, w których są dzieci, przeklinanie przy nich. A to wszystko, ich zdaniem, robią Polacy.

Helena pamięta, że jak tego słuchała, to się śmiała. Myślała, że to żarty.

Minął jakiś czas, w październiku ubiegłego roku pani z Barnevernet przyszła znowu. Uśmiechała się. Powiedziała jednak: mamy problem. Mówiła, że jest ▶